

Na bogato już było

z Mariuszem Grzebalskim

rozmawia

Maciej Robert

fot. Maciej Fiszer



Przez długi czas panowała
opinia, że w moich wierszach
hulają zimne wiatry.
Teraz z kolei słyszę, że są one
czułe, szczere i emocjonalne.
Niech będzie.

W wywiadach, których udzielałeś po ukazaniu się *Niepiosenek*, Twojej poprzedniej książki, zapowiadałeś, że następny tom nie powstanie zbyt szybko. Tymczasem na *W innych okolicznościach* czekaliśmy tyle, ile zazwyczaj. Rok dłużej niż zazwyczaj, ale nie ma co krzyczeć kopii o drobiazgi. Nawet jeśli był to długi rok, to tylko dla mnie. Ja niczego w wypadku tej książki nie zrobiłem na siłę. Nie było żadnego musiku. Materiał, z którego powstała, przez blisko rok leżał nieruszany na dysku komputera. Dopisałem w tym czasie trzy, może cztery wiersze. Do wcześniej napisanych nie zaglądałem. Aż przyszedł moment, że zajrzałem i przeczytałem je na świeżo, jak teksty kogoś obcego. Wtedy powolutku zacząłem je układać. Część odpadła, część poprawiłem. Mówiąc wprost, nie miałem gotowego pomysłu na tom wierszy, tylko ułożyłem go z wierszy już napisanych. Kiedy nie byłem już w stanie zrobić nic więcej z poszczególnymi tekstami ani z ich układem, wysłałem *W innych okolicznościach* do wydawcy. Ten po trzech miesiącach przysłał mi egzemplarze autorskie. Szybko poszło, choć po drodze konsultował się z kilkoma osobami, które mu doradzają.

Może to dobrze, że wydawca, który nie jest poetą, nie decyduje sam o wydaniu książki poetyckiej?

Nie wiem, sam jestem w innej sytuacji. Polegam tylko na sobie. Ale na przykład Artur Burszta nie jest poetą, a książki poetyckie wydaje z powodzeniem od prawie 20 lat.

Skoro wspomniałeś Artura Bursztę – dlaczego zdecydowałeś się zmienić wydawcę?

Przede wszystkim dlatego, że mamy z Arturem inny pogląd na to, jak ma wyglądać praca wydawcy i jak ma wyglądać stosunek wydawcy do autora. Opublikowałem u Artura sześć swoich książek, redakcyjnie opracowałem trzy razy tyle. Tego nie da się wymazać. Ale w pewnym momencie Biuro Literackie zaczęło się zmieniać w fabrykę, a Artur zaczął przemawiać z pozycji wszechwiedzącego. Wtedy uznałem, że warto spróbować samemu wydawać książki. Było OK do momentu, kiedy opublikowałem wybór wierszy Andrzeja Sosnowskiego. Wtedy Artur zaprosił mnie na spotkanie do Wrocławia, na którym pojawił się w towarzystwie prawnika. Chcieli wycofania książki z rynku i oficjalnych przeprosin. Od tamtej pory kontaktowaliśmy się wyłącznie za pośrednictwem radców prawnych. Ale, jak powiedziałem, nie wypieram się wieloletniej współpracy z Biurem. I nie mam żalu do Artura. W sumie dobrze się stało, że nasze drogi się rozeszły – spróbowałem innego chleba. Jest nowy wydawca, jest nowa książka, mam nadzieję, że jest też nowa jakość.

Wiele z wierszy, które znalazły się w tej książce, pojawiło się już w *Kronice zakłóceń* – tomie wierszy zebranych – jako nowe wiersze. Ale wiele też wypadło.

Wiele to za dużo powiedziane, ale kilka rzeczywiście pojawiło się jako nowalijki w *Kronice zakłóceń*. Większość z nich powtórzyłem w *W innych okolicznościach*, ale w skróconych wersjach. Te, które odpadły, nie pasowały do książki. Nie chciałem, żeby było w niej o jeden, nawet niezły wiersz za dużo.

+

Są to zmiany różnego rodzaju – zmienia się tytuł, zmienia się wersyfikacja, najczęściej jednak wiersz się kurczy. Rozmawiałem ostatnio z Darkiem Foksem, który mówiąc o pracy nad nowymi wierszami, użył sformułowania „obtłukiwanie ornamentów”...

Ładnie i na temat Darek powiedział.

U Ciebie to obtłukiwanie jest dążeniem do prostoty. Wskazuje na to już motto z wiersza Bertolta Brechta.

Tak, motto pochodzi z wiersza Brechta *I zawsze myślałem*. Jest krótkie, więc je zacytuję: „I zawsze myślałem, że najprostsze słowa / Powinny wystarczyć. Kiedy mówię, jak jest / Każdemu musi po prostu pęknąć serce. / Że pójdziesz na dno, jeśli nie będziesz się bronić. / To chyba jasne”. Nic ująć, nic dodać. Najprostsze słowa powinny wystarczyć. Wszystko, co da się powiedzieć, da się powiedzieć prosto. Wiersz powinien sprawiać wrażenie, jakby był napisany od niechcienia. Ma skupiać na sobie uwagę, ale jednocześnie ją od siebie odwracać. Musi w nas zapadać mimochodem.

Ja nie piszę swoich wierszy wyłącznie z myślą o wyrobionych czytelnikach. Mam nadzieję, że one są w stanie trafić także do kogoś, kto na co dzień nie ma kontaktu z literaturą. Tylko to nie jest tak, że ja pewnego dnia sobie zaplanowałem: od dziś będzie prosto, bo na bogato już było. Nie, droga do prostoty miała naturalny charakter. Paradoksalnie w nowej książce chciałem usunąć się w cień, zatrzeć „ja” autorskie, a jednocześnie zależało mi, żeby powiedzieć coś od siebie. Dlatego zrezygnowałem z masek, z liryki roli. Większość tych wierszy napisanych jest w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Chciałem, żeby ich czytanie było rozmową z autorem.

Trochę mnie to dziwi, bo czytam ten tom jako najbardziej osobistą Twoją rzecz.

Mówię – to paradoks. On jest osobisty. Ale to wciąż wiersze, rodzaj tekstu. Są oparte na do-

świadczeniu, które było moim udziałem, ale pozostają wierszami. Nie ma prostego odwzorowania rzeczywistości. Wszystko odbywa się za pośrednictwem języka. Mnie chodziło o to, żeby czytelnik rozpoznał się w tym, co czyta. Żeby przełożył to na swoje własne doświadczenia. W ten sposób „ja” autorskie miało tracić znaczenie. Wcześniej tego nie próbowałem, ale niedawno skończyłem 45 lat i pomyślałem sobie: kiedy, jeśli nie teraz?

Mówisz o wieku lat 45, jakby to była szczególnego rodzaju cezura.

Nie, po prostu akurat na rok przed moimi 45. urodzinami poczułem nagle hamowanie i praktycznie z dnia na dzień znikło sporo ważnych dla mnie punktów odniesienia. Sprawy, którymi żyłem, straciły na znaczeniu. Zacząłem się zastanawiać, jak to się do cholery stało, że przez tyle lat gdzieś gnałem? I po co? Ta książka jest w pewnym sensie efektem tego hamowania. Jest na przykład w *W innych okolicznościach* wiersz o jarzębinie, która rosła przed moim domem. Przez kilka lat nie zwracałem na nią uwagi – po prostu była. Nagle, trach! – nie mają jej. Chcę powiedzieć, że w pewnym momencie wróciła mi uważność spojrzenia na rzeczy z pozoru błahe. Ten nawrót ostrości widzenia zbiegł się ze śmiercią mojej babci. Ona też zawsze była. Była łączniczką z całą moją przeszłością, także z przeszłością łódzką, bo przeżyłem tam wyjątkowe dzieciństwo. Kilka lat temu babcia zachorowała na Alzheimera. Kiedy się spotykaliśmy, myliła mnie z dziadkiem, z moim synem... Szok, a jednak potrafiłem to wszystko obejść. Zafiksowany na codziennych obowiązkach nie zauważałem podstawowego faktu – że umiera. I dopiero kiedy umarła, otrzeźwiałem. Zrozumiałem, że na koniec życia nie potrafiłem jej zaoferować tego, co ona dawała mi przez wiele lat. Poczułem wstyd...

Kiedy dziś jechałem do Łodzi, w pewnym momencie pociąg zatrzymał się na stacji. Zobaczy-

łem napis Zduńska Wola. Kiedyś widywałem go raz w miesiącu, jeśli nie częściej, bo często przyjeżdżałem do Łodzi. I nagle złapałem się na tym, że nie widziałem go przez wiele lat. Uświadomiłem sobie, że straciłem kontakt ze światem, który był moim naturalnym środowiskiem. Moja rodzina w większości wyemigrowała w latach 80. do Niemiec. W Łodzi została babcia, którą potem przeprowadziłem do Poznania, i rodzina jej siostry, u której niestety źle się działo. Po śmierci babci ja sobie to wszystko przypomniałem: że miałem tu rodzinę, którą zaniedbałem, bo praca, dzieciaki, kredyty... Znów wstyd. Poczuję go, bo ci wszyscy ludzie przekazali mi moc, której nie umiałem w jakikolwiek sposób zwrócić. Nie byłem dość przytomny, żeby być wdzięcznym. Jadąc dziś do Łodzi, nie odczuwałem tremy. I nagle, właśnie od Zduńskiej Woli, pojawiło się uczucie lęku. Że coś zawałiłem.

Mówisz: „Cały ten świat sobie przypomniałem”. W jednym z wierszy piszesz natomiast: „Przypominam jak było. Mówię jak jest”, rozszerzając motto z Brechta o czas przeszły. Wszystkie Twoje tomy były rozpięte między przeszłością a teraźniejszością, ale w nowej książce jest to szczególnie widoczne. Tak, te przestrzenie – teraźniejsza i retrospektywna – funkcjonują w mojej poezji na równych prawach. Ma to charakter imperatywu. Ale nie chcę teoretyzować na ten temat. Nie jestem teoretykiem. Nie przygotowałem sobie narracji wyjaśniającej, dlaczego tak się dzieje – to nie jest teza, która wymaga dowodu.

Również nie jestem teoretykiem, dlatego pozwolę sobie opisać Twoją książkę w kategoriach, które nie mieszczą się w ramach teorii literatury. To książka szczerą i emocjonalną.

Czytałem krańcowo różne opinie na temat moich książek. I im jestem starszy, tym trudniej jest mi się do nich ustosunkować. Przez długi czas panowała opinia, że w moich wierszach

hulają zimne wiatry. Teraz z kolei słyszę, że są one czułe, szczerze i emocjonalne. Niech będzie. Moim zdaniem emocjonalne były zawsze. Ze szczerością też nie byłem na bakier. A bez emocji trudno o dobrą lirykę. Ale nie chcę sprowadzać znaczenia swojej poezji wyłącznie do szczerości. Szczerść i emocje to jeszcze nie literatura.

Śledzisz opinie krytyki na temat swojej twórczości?

Bo ja wiem... Jak coś znajdę na swój temat, to przeczytam. Ale nawet wtedy tętno mi nie skacze. Im jestem starszy, tym większy mam do tego dystans. Chyba że zdarzy się niewyobrażalny idiotyzm, wtedy po prostu się dziwię. Ale idiotyzmów na szczęście nie ma za wiele, bo krytycy nie rozpisują się o moich wierszach.

Bez przesady, piszą. Co prawda często się zdarza, że swój osąd powtarzają przy każdej następnej książce, nawet jeśli jest znacząco inna od poprzednich. Wielokrotnie czytałem – czy to przy okazji *Słynnych i świetnych*, czy przy *Niepiosenkach*: „To ten sam Grzebałski, ale nieco inny”. Jak Ty sam widzisz w tym kontekście nową książkę?

Mogę tylko powiedzieć, że to książka inna niż *Słynne i świetne*. I że w pewnym sensie jest kontynuacją *Niepiosenek*. Dwa ostatnie zbiory, mimo że różne, są w szczególności sposobu bliźniacze.

Jest też jeszcze jedna nowa rzecz. Wiersze, w których po raz pierwszy jesteś tak mocno deklaracyjny w opisywaniu swojej ars poetica (*To odbywa się prosto*) czy wręcz zdobywasz się na środowiskową polemikę, jak w *Przeglądzie prasy*.

Przegląd prasy odnosi się do wypowiedzi Piotra Śliwińskiego zamieszczonej kilka lat temu w „Gazecie Wyborczej”. Piotr pisał o pokoleniu poetów urodzonych w latach 60. i 70. Ja nie czuję się częścią żadnego pokolenia, a że nie jestem polemistą, nie wystąpiłem kontry do „Wyborczej”, tylko napisałem wiersz. Nie chcę +

powtarzać banałów, ale kategoria pokolenia literackiego ma dla mnie charakter wyłącznie użytkowy. Najciekawsza jest różnica. Niezależnie od tego, że urodziliśmy się w tych samych latach, słuchaliśmy podobnej muzyki, wychowywaliśmy się w podobnych warunkach, to jednak w poezji się różnimy. I o tej różnicy mówmy.

Są też jeszcze inne kategorie porządkujące poezję, na przykład geograficzna (postulowana przy okazji poznańskich autorów).

One są w pewnym momencie pomocne, ponieważ tworzą mapę zjawisk literackich w danym okresie historycznym. Ale poza tym niewiele z nich wynika. Są na krótką metę poręczne – to wszystko. A Poznań wbrew pozorom ma duże i ciekawe, bo zróżnicowane środowisko literackie. Niestety jest to jednocześnie środowisko wyjątkowo zatamizowane.

Jesteś konceptualistą?

Nie przypominam sobie...

Skąd zatem wziął się w nowym tomie wiersz
W starym języku?

Przeczytałem w poznańskiej „Gazecie Wyborczej” artykuł, w którym tłumaczono powody i sposoby przenoszenia do kontenerów ludzi z zadłużonych kamienic. Śledziłem to zjawisko i byłem zdziwiony sposobem, w jaki piszą o nim dziennikarze. Używając ich własnego języka, próbowałem wykpić ten pełen zrozumienia, a jednocześnie czysto sprawozdawczy ton. Jest w nim coś nieludzkiego... Przy okazji zależało mi też na tym, żeby zaznaczyć, że to, co się dzieje, dzieje się na naszych oczach i za naszym przyzwoleniem. Skoro tego typu postępowanie i mówienie o nim nie budzi sprzeciwu, widać wszystko jest w porządku, a kontener bez okien to idealne miejsce do mieszkania.